

Django Reinhardt

Cygański jazz

Marek Romański

W kulturze europejskiej zjawisko cygańskiego jazzu jest prężnym nurtem, wciąż zasilanym utalentowanymi muzykami. Jeśli jednak cofnąć się do początków tej muzyki – lat 30. XX wieku – znajdujemy właściwie tylko jedno nazwisko – Django Reinhardt.

Django Baptiste Reinhardt był pierwszym wielkim jazzmanem pochodzącym z Europy. Choć jego głównym instrumentem była gitara, grał także na banjo i skrzypcach. Był prawdziwym pionierem, przecierającym gitarze szlak w muzyce jazzowej, a jego wpływ na kolejne pokolenia gitarzystów po obu stronach Atlantyku jest nie do przecenienia.

Reinhardt to także jeden z najwybitniejszych w historii artystów romskiego pochodzenia, postać barwna, choć także naznaczona tragedią.

Urodził się 23 stycznia 1910 roku w belgijskim miasteczku Liberchies. Wychowywał się w taborze cygańskim w Choisy, niedaleko Paryża.

Nie chodził do szkoły. Jako dorosły podpisywał się krzyżykiem. W wieku 12 lat dostał pierwszy instrument. Od razu było jasne, że jest stworzony do muzyki. Już rok później grał w paryskich kawiarniach i salach balowych. Wkrótce stał się sławny w stolicy Francji, zapraszany do najlepszych lokali. Na jego występy przychodziła śmietanka artystycznych kręgów Paryża. I wtedy nastąpiło zdarzenie, które mogło zakończyć znakomicie się rozwijającą karierę.

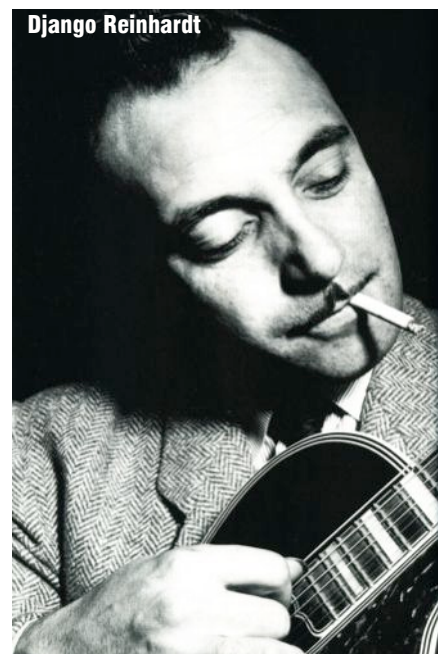
Jak to we wspólnotach Romów przyjęte, Django ożenił się bardzo wcześnie, z Florine „Bellą” Mayer. Ponieważ w domu młodego małżeństwa się nie przelewało, Florine starała się podreperować domowy budżet wyrobem i sprzedażą sztucznych kwiatów z celulozoidu i papieru. Django, wróciwszy pewnego wieczoru z koncertu, przez nieuwagę wyrzucił zapaloną świecę. Wóz pełen łatwopalnych materiałów wkrótce zajął się ogniem, a gitarzysta doznał rozległych oparzeń. Utracił możliwość poruszania dwoma palcami lewej ręki, groziła mu także amputacja nogi, której na szczęście udało się uniknąć. Miał wówczas 18 lat,

reputację jednego z największych talentów w kraju i determinację, by podbić świat. Nagle wszystko runęło. Lekarze kategorycznie stwierdzili, że lewa dłoń nigdy już nie będzie w pełni sprawna i o grze nie ma mowy.

Reinhardt się jednak nie poddał. W ciągu następnych 18 miesięcy opracował specjalny system gry, w którym do partii solowych służyły mu dwa sprawne palce, a te bezwładne nauczył się wykorzystywać w grze akordowej. Do dziś nowa i jedyna w swoim rodzaju technika Reinhardta jest przedmiotem studiów gitarzystów i muzykologów. Stosując ją, osiągnął zdumiewającą czystość i klarowność dźwięku. Potrafił także grać oszałamiająco szybkie pasaże. Jeśli do tego dodamy naturalną muzykalność, talent melodyczny wyniesiony z cygańskiego folkloru i wiedzę harmoniczną zdobytą przy okazji słuchania nagrań amerykańskich jazzmanów – to mamy pełny obraz tego artysty.

Django słuchał Louisa Armstronga, Duke’a Ellingtona, Eddie’ego Langa i innych. Jazz go zafascynował. Początkowo jedynie kopiował harmonie, tematy i sola. Z czasem zaczął tworzyć własną muzykę, która była wypadkową jazzu, bluesa, popularnych piosenek z klubów Tin Pan Alley, a także francuskich chansons, musette i orientalnych skal cygańskiego folkloru. Nieobca mu była także klasyka, a szczególnie francuscy impresjoniści – Debussy i Ravel.

Na początku lat 30. spotkał bratnią duszę – młodego, bardzo zdolnego skrzypka Stephane’a Grappellego. Zaczęło się od wspólnych jamów. Z czasem zapraszali różnych muzyków, a wreszcie w 1934 roku powstał słynny Quintette du Hot Club de France. W tamtych czasach była to grupa o rewolucyjnym brzmieniu. Potężny atak trzech gitar Django, jego brata Josepha i Rogera Chaputa równoważyły błyskotli-



wa, finezyjna gra Grappellego i pulsujący bas Louisa Vola.

Muzyka kwintetu była dynamiczna, elegancka i wirtuozerska zarazem. Miała w sobie europejski wdzięk, jazzową drapieżność i cygańską egzotykę.

Kolejne inkarnacje Quintette du Hot Club de France odbywały regularne trasy po Europie, wszędzie budząc szaleństwo porównywalne chyba tylko do późniejszej beatlemanii. Dla każdego jazzmana prawdziwą Mekką i probierzem własnej wartości jest Ameryka, jednak Django Reinhardt miał okazję zaprezentować się za oceanem dopiero po wojnie. Nie znaczy to, że amerykańscy jazzmani nie mieli pojęcia o geniuszu z Belgii. W czasie koncertów w Europie zetknęli się z nim m.in. Benny Carter, Coleman Hawkins, orkiestra Duke’a Ellingtona i wielu innych. Ellington był zachwycony muzyką Reinhardta i wyrażał się o nim w samych superlatywach.

Czasy wojenne Django spędził w okupowanej Francji. Zdawał sobie sprawę, że grozi mu śmierć w obozie koncentracyjnym, podobnie jak tysiącom innych Romów. Próbował kilkakrotnie uciec ze strefy okupowanej – bez powodzenia. Jednak udało mu się przeżyć, głównie dlatego, że Niemcy

lubili jego muzykę. Reinhardta upodobał sobie szczególnie wpływowy oficer Luftwaffe Dietrich Schulz-Köhn, nazywany nie bez kozery „Doktor Jazz”. Podstawowym problemem był wówczas status jazzu – w III Rzeszy była to muzyka zakazana i Niemcom groziły represje za jej słuchanie. Django próbował się ratować, komponując i wykonując utwory od jazzu odległe. Stworzył nawet mszę i symfonię. Jako że nie znał nut, po prostu grał na gitarze partię każdego instrumentu w orkiestrze, a asystent przelewał je na papier nutowy.



Django Reinhardt

Jego przyjaciel Stephane Grappelli spędził wojnę w Wielkiej Brytanii. Gdy tylko stało się to możliwe, Reinhardt dołączył do niego.

W 1946 roku wyjechał po raz pierwszy do Stanów. Spełniło się jego wielkie marzenie o grze w kolebce jazzu. Wielki admirator jego talentu – Duke Ellington – zaprosił go na trasę koncertową jako gościnnego solistę swojej orkiestry. Na zakończenie tournée Django dwukrotnie wystąpił w Carnegie Hall, gdzie nagrodzono go gorącymi owacjami.

W trakcie pobytu w Nowym Jorku, jako jeden z pierwszych Europejczyków, zafascynował się be bopem i jego największymi gwiazdami – Charlie Parkerem i Dizzy Gillespiem. W USA także zetknął się z gitarą elektryczną, którą później wykorzystywał dość często.

Wielkiej kariery w USA jednak nie zrobił. Wprawdzie przez pewien czas grał jako rezydent w jednym z nowojorskich klubów, ale oczekiwał czegoś więcej. Obiecywano mu trasy koncertowe, ale żadna nie doszła do skutku. Rozczarowany, w 1947 roku wrócił do Francji.

Musiał to jednak być dla niego duży cios, bo w następnych miesiącach częściowo wycofał się z czynnego koncertowania. Wiódł cygańskie życie, odwoływał zaplanowane koncerty tłumacząc to np. „spacerem po plaży”. Bywały dni, kiedy w ogóle nie wychodził z łóżka. Miał wszelkie objawy głębokiej depresji.



Stephane Grappelli fot. Jacques Joris

W końcu wziął się w garść i powrócił do współpracy z Grappellim. Nagrał też kilka płyt na elektrycznej gitarze. Prezentował się na nich jako muzyk bebopowy, który przeszedł długą drogę od czasu europejskiego swingu Quintette du Hot Club de France. Ostatni swój album – „Djangology” – zarejestrował w 1949 roku we Włoszech z miejscowymi muzykami.

Django Reinhardt zmarł 16 maja 1953 roku w Paryżu. Późnym wieczorem wracając po koncercie do domu, nagle upadł. Była sobota, więc lekarz nie pojawiał się przez długi czas. Kiedy wreszcie muzyk trafił do szpitala w Fontainebleau, stwierdzono śmierć w wyniku udaru.

Pozostawił po sobie liczne nagrania, z których największą estymą cieszą się te z Quintette du Hot Club de France. Do dziś elegancja i wdzięk gry tego zespołu robią olbrzymie wrażenie.

Django miał także talent kompozytorski. Wiele z jego utworów ma dziś status jazzowych standardów np. „Minor Swing”, „Daphne”, „Belleville”, „Djangology” czy, bodaj najczęściej grywany, „Nuages”.

Osobną sprawą pozostaje jego technika gry. Wraz z Charlieem Christianem, Wesem Montgomerym czy Joe Passem należy do muzyków, którzy nobilitowali

gitarę jako instrument służący jazzowej improwizacji, na równi z trąbką czy saksofonem.

Aż trudno uwierzyć, jak wielu późniejszych gitarzystów przyznawało się do inspiracji stylem Reinhardta. I to po obu stronach Atlantyku. Należą do nich Jerry Garcia, Jeff Beck, John McLaughlin, Trey Anastasio i wielu innych.

Łączenie francuskiej tradycji, folkloru romskiego i swingowego jazzu bywa traktowane jako początek emancypacji europejskiego jazzu.

Bireli Lagrene fot. Jacques Joris



Django był także artystą poszukującym, starającym się odkrywać nowe sposoby ekspresji. Świadczą o tym ostatnie lata jego życia, kiedy często sięgał po gitarę elektryczną. Jako jeden z pierwszych w Europie z powodzeniem wykorzystywał zdobycze amerykańskiego bebopu.

Jednak chyba największy wpływ wywarł na twórczość muzyków pochodzenia romskiego. Wśród Romów ma on status wręcz legendarny, a jego sola są nadal przedmiotem studiów i punktem wyjścia do indywidualnych poszukiwań.

Do jego spadkobierców, określanych często jako „jazz Manouche” (synonim cygańskiego jazzu, pochodzący od francuskiej wspólnoty Manouche), należą m.in. Bireli Lagrene, Jimmy Rosenberg, Boulou and Elios Ferre, Angelo Debarre, Dorado Schmitt czy Florin Niculescu.

Mit, jakim otoczone jest życie i postać Django, znalazł także odbicie w kulturze popularnej. Przykładem może być choćby film Woody Allena z 1999 roku „Słodki drań” („Sweet and Lowdown”), którego bohaterem jest fikcyjny amerykański gitarzysta Emmett Ray, owładnięty obsesją na punkcie gry i osoby Reinhardta. Django pojawia się także w animowanym filmie „Trio z Belleville” (reż. Sylvain Chomet). Jego muzyka znajduje się w niezliczonej ilości ścieżek dźwiękowych filmów. ♦